

Bogdan Góralczyk

## Wspomnienia, czyli co to jest sinologia politologiczna

### *Wprowadzenie od Zespołu Instytutu Boyma*

*Od upadku systemu komunistycznego w Polsce w 1989 roku historia wykonała już wiele zakrętów. To dlatego szczególnie młodszemu pokoleniu czytelników i badaczy coraz trudniej jest zrozumieć realia życia w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.*

*Jesteśmy jednak przekonani, że nie wolno nam redukować historii tego okresu do materiału archiwalnego zapisanego w **teczkach służb bezpieczeństwa i wywiadowczych**. W tym drugim przypadku jest ewidentne, że ich ujawnianie szkodzi interesom niepodległej Rzeczypospolitej. Zwłaszcza w sytuacji **inwazji rosyjskiej na Ukrainę** i znacznego pogorszenia sytuacji bezpieczeństwa Polski łączy nas w Instytucie Boyma przekonanie, że nie wolno nam tracić energii i sił na dyskredytację zasłużonych osób publicznych, mających dogłębną wiedzę w sprawach międzynarodowych. **Dyskutujmy zawzięcie i spierajmy się, ale nie niszczy się wzajemnie!***

*Dlatego bardzo dziękujemy, że w odpowiedzi na niedawną publikację prasową prof. Bogdan Góralczyk zdecydował się opowiedzieć na naszych łamach bogatą historię swojego życia. Wspomnienia bardzo osobiste mieszają się tutaj w przejmujący sposób z doświadczeniami badacza i dyplomaty. Wspomniany artykuł w zderzeniu z tekstem Profesora stanowi ilustrację, jak bardzo można się pomylić, jeśli historyk bazuje **wyłącznie na jednostronnych źródłach wyprodukowanych przez policję polityczną i wywiad autorytarnego państwa.***

*Mało jest w Polsce intelektualistów, którzy łączyliby w Polsce głęboką znajomość Azji Wschodniej z umiejętnością przystępnego opowiadania o niej. **Oddajmy więc głos Profesorowi i wysłuchajmy jego trudnej opowieści.***

## **Wprowadzenie**

Zgodnie z obecną tendencją, by zwiększyć echo i nagłośnienie, należałoby dodać nośny podtytuł: "Zwierzenia agenta". Taki wizerunek wyłonił się z demaskatorskiego w zamierzeniu tekstu „Góralczyk brothers” Sławomira Cenckiewicza i Michała Kozłowskiego.

Czytając tę relację otrzymujemy „prawdę kwitów”. Jest podpis, jest zobowiązanie, jest człowiek, wszystko pasuje: mamy agenta! Do tego dochodzi narracja, na podstawie której Czytelnicy mają sobie wyrobić jednoznaczną ocenę: kariera wykreowana przez służby (i siedzącego w nich starszego brata), czyli kolejne "resortowe dziecko". Na dodatek takie, które zdobywa rozgłos, wpływa na opinie w ważnych sprawach i - stawiając mało popularne u nas tezy (przesunięcie ośrodka siły z Atlantyku na Pacyfik, koniec europocentryzmu. etc.) - miesza w głowach „patriotycznej młodzieży”. Zdaniem lustratorów taka osoba powinna milczeć i siedzieć cicho.

Moja bratowa Juan Go-Góralczyk już nie żyje. Starszemu o pokolenie bratu zdrowie nie pozwala już reagować. Ja natomiast, jak widać i słysząc, jestem aktywny, więc chyba powinienem zabrać głos, co niniejszym niechętnie czynię. Głównie po to, by Czytelnicy zrozumieli, że życia człowieka nie da się zredukować do kilku dokumentów służb autorytarne państwa.

Nie będę odnosił się bezpośrednio do opublikowanego tekstu, bo trudno udowodniać, że nie jest się wielbłądem. Zamiast tego przedłożę Państwu pod rozwagę paralelną narrację, do porównania z mrokami świata teczek.

## **Bracia i Chiny**

Zacznę anegdotycznie. Jest rok 1953. W tradycyjnej rolniczej rodzinie (7 ha na ubogim Mazowszu) najstarszy syn kończy liceum w pobliskich Siedlcach. Jako zdolny chłopak, z dobrze zdaną maturą, w wieku 17 lat został wytypowany na studia. Do ZSRR, a jakże. Kiedy jednak pojechał do Warszawy, tam w odpowiednim Ministerstwie powiedziano mu, że miejsce wcześniej mu przyznane zostało już zajęte (w domyśle: przez dziecko dobrze ulokowanego towarzysza). Ale - jest w zamian jedno miejsce na wyjazd do... Chin! Na co rezolutny chłopak, nawet nie pytając rodziców, krzyknął: "Pojadę!"

No i pojechał jesienią 1953. Tym chłopakiem był mój brat. W sierpniu roku następnego urodziłem się ja. Rodzice uznali, że najstarszego syna stracili. Ich drogi się rozeszły. Dopiero po sześciu latach, jesienią 1959 r., pojawił się on znów w rodzinnej wsi, wraz z żoną Chinką - ludzie przychodzili wtedy z odległych wiosek, by ją zobaczyć - i małą córką. Przez ponad rok wynajmowali w naszej miejscowości oddzielny lokal, bo my nadal gnieździł się w jednej izbie. Potem zniknęli już na dobre. Ruszyli w świat, najpierw do Brazylii, potem wielokrotnie do Chin. My tymczasem na wsi dopiero pod koniec lat 60. przenieśliśmy się do większego domu, którego Ojciec, mimo sprzedaży części ziemi, nie był w stanie dokończyć. Matka zbyt późno mnie urodziła (miała trudny poród). Szybko popadła w choroby, co ostatecznie przyspieszyło jej tragiczne, przedwczesne zejście z tego świata.

Tym samym Chiny stały się obecne w moim życiu niemal od samego początku, choć zrazu nie wzbudzały większych emocji. Jako dzieciak chętnie przeglądałem jedynie czarno-białe obrazki z popularnych w ChRL do dziś historii obrazkowych, takich swoistych komiksów, najczęściej opowiadających fragmenty obszernej chińskiej historii.

Natomiast starszy o pokolenie brat był bardziej punktem odniesienia i ewentualnie inspiracji niż pomocnikiem w karierze. Zawsze pozostawał gdzieś daleko w świecie, na placówkach dyplomatycznych lub w podróżach. Poza tym nie miał żadnego wpływu na moje wybory, czy to studiów, czy życiowe. To może tyle na temat tytułowych „Góralczyk brothers”, co to rzekomo działali w tandemie... Nie działali, bo byli od siebie zbyt oddaleni. Zarówno wiekiem, jak i bagażem doświadczeń. W stanie wojennym ja byłem – nie z własnej woli -w wojsku, on na placówce w Chinach.

Państwo Środka wróciło do mnie, tym razem już z całą mocą, gdy jako student UW jesienią 1976 r. trafiłem tam, właśnie na zaproszenie brata, wówczas dyplomaty. Zapraszał wtedy sukcesywnie kilka osób z najbliższej rodziny, w tym drugiego brata, z Chinami nie mającego nigdy nic wspólnego. Ja tymczasem już wcześniej, mając tę perspektywę - wówczas unikatowego - wyjazdu w zanadrzu, złożyłem podanie-wniosek o studiowaniu na drugim kierunku: sinologii. Pierwsze studia, na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW, skończyłem w 1978 r., drugie nieco później w Instytucie Orientalistyki.

I właśnie studia na tym drugim kierunku sprawiły, że w roku akademickim 1979/80 trafiłem znów do Chin, jako jeden z dwojga pierwszych po „rewolucji kulturalnej” (czyli od 1966 r.) polskich stypendystów skierowanych tam do podnoszenia kwalifikacji językowych. Potem

wysłano jeszcze bodaj trzy takie pary, zanim uruchomiono normalną, międzyrządową wymianę. Ponieważ tamtejsze uniwersytety, po traumie „rewolucji kulturalnej”, faktycznie wznowiły działalność w ChRL dopiero rok wcześniej, ulokowano nas w ambasadzie PRL, a chińskich lektorów mieliśmy „z miasta”.

Wracałem koleją transsyberyjską, co dało mi wielką lekcję geografii i polityki. W Polsce trafiłem na wybuch „Solidarności”. Mając w tyle głowy i „w siedzeniu” poczucie, jak wielki jest ZSRR, do związku nie wstąpiłem. Miast pisać pracę magisterską, z całą pasją rzuciłem się na lekturę „Gazety Krakowskiej” oraz powszechnie wtedy dostępnej bibuły. Bowiem powiał wiatr wolności.

## **Oni**

Wtedy zjawili się Oni. To nie ja tam pukałem, to oni mnie wezwali. Najpierw do surowych murów komendy, potem do jakiejś kawiarni. Wtedy przedłożono mi gotowy do podpisu kwit. Podpisałem, ale proszę zwrócić uwagę na datę: 15 października 1980 roku. Nikt nie wiedział, co się zdarzy, ale ja upadku ZSRR wówczas nie przewidywałem, a emigracji nie brałem pod uwagę. Chcąc jakoś funkcjonować w ówczesnej Polsce, trzeba było iść na koncesje. Taka jest logika reżimów autorytarnych i totalitarnych. Albo uciekać, albo się jakoś przystosować.

Poproszono mnie, takie było uzgodnienie, o współpracę „na kierunku chińskim”, bo - jak argumentowano - „brakuje nam specjalistów w tej dziedzinie”. Na takie warunki, sądziłem, można przystać. Kiedy jednak zaproponowano mi w kolejnym kroku, werbunek pełny i zrobienie ze mnie kadrowego oficera wywiadu, stanowczo odmówiłem. Zasłoniłem się kończeniem drugiej pracy magisterskiej - ostatecznie bronionej, w mundurze, pod koniec 1982 r. - oraz pisanego już wtedy z coraz większym rozmachem doktoratu. Traktował o stosunkach chińsko-japońskich, pod kierunkiem prof. Remigiusza Bierzanka. Byłem jego ostatnim doktorem.

## **Trauma stanu wojennego**

Nie wiadomo, czym by się ta gra w ciuciubabkę skończyła. Nie przesądzam. Dziś łatwo wydawać wyroki i sądy. Tyle tylko, że w moim życiu przyszedł szok, którego autorzy wspomnianego tekstu w ogóle nie dostrzegli, bo nie było o nim wzmianki w teczkach lub nie pasował do ich narracji. W dwa dni po ogłoszeniu stanu wojennego dostałem wezwanie do

wojska. Najpierw w Szkole Łączności w Zegrzu, bo kończyłem wcześniej technikum radiowe. Cały stan wojenny spędziłem w kamaszach.

Na dodatek moja małżonka (ślub wzięliśmy w czerwcu 1980 r. tuż po moim powrocie z Chin), pół-Węgierka i po hungarystyce (ona, nie ja!) wyjechała burzliwą jesienią 1981 r. do Budapesztu do chorej Babci, by się nią opiekować. Tam zatrudniła się w Instytucie Polskim jako lektor. Wiosną 1982 r., przy okazji przedłużania karty pobytu w tamtejszym Urzędzie ds. Obcokrajowców (KEOKH) - z nieznanym nam powodem, Małżonka zawsze podejrzewała chęć zajęcia jej miejsca pracy - została zabrana w obstawie dwóch policjantów do polskiej ambasady, gdzie zabrano jej dowód osobisty, wręczono paszport blankietowy i nakazano opuścić Węgry w ciągu 72 godzin. Nikt w ambasadzie nie pytał, dlaczego, nikt nie stanął w jej obronie, nikt nie pytał o Babcię, która wkrótce zmarła.

Jeśli wcześniej, jako człowiek prowincji i niedostatku - a bieda, to brak wolności... - miałem jakieś złudzenia co do Systemu, to je wówczas straciłem.

Kiedy w grudniu 1982 r. wypuszczono mnie z wojska, sytuacja wyglądała tak. Miałem ukończone dwa kierunki studiów, mocno zaawansowany doktorat. Ale nie miałem ani pracy, ani meldunku w Warszawie. To była wtedy taka kwadratura koła: aby mieć pracę, trzeba było mieć meldunek. A bez meldunku nie sposób było znaleźć pracy.

Natomiast podanie, które złożyłem jeszcze w 1979 r. w PISM w pół roku po zakończeniu pierwszych studiów, gdzie zawsze chciałem pracować, leżało odłogiem. Chcąc nie chcąc, musiałem szukać alternatywy, bo marzenia nie chciały się spełnić. Postawiłem na Zakład Krajów Socjalistycznych PAN, ale ten też mnie zwodził. Natomiast podczas tych penetracji w PKiN podano mi, że mieszczące się tam Biuro Współpracy z Zagranicą właśnie potrzebuje "człowieka od Chin". Polska generała Jaruzelskiego szybko postawiła na Chiny Deng Xiaopinga.

Trafiłem do Biura z początkiem czerwca, po pół roku bezrobocia po wyjściu z wojska. Gdy tam się znalazłem, natychmiast stało się dla mnie jasne, że to w istocie Biuro Paszportowe, a więc - ubecja. Owszem, przyjąłem nawet jedną delegację z Chin i zacząłem rysować plany współpracy PAN z tym krajem, ale wówczas... zdarzył się - wreszcie! - cud.

Znany i dobrze ulokowany w Systemie amerykańista, prof. Longin Pastusiak zgadł się z moim bratem ciotecznym, dużo ode mnie starszym szefem Browarów Warszawskich, że tworzy nowy Zakład Amerykanistyczny w PISM i potrzebny mu "ktoś od Chin". Tak padło na mnie!

Pamiętam zdumienie tej samej kadrowej, którą odwiedzałem na ul. Wareckiej w siedzibie PISM od lat, gdy tym razem zmuszona została do sięgnięcia po moje dawne podania.

W listopadzie 1983 r. na WDiNP- nie w PISM - obroniłem doktorat. Już wcześniej od 1 listopada, a więc po pięciu miesiącach właśnie ze względu na obronę doktoratu oraz spodziewany etat zrezygnowałem z wielką ulgą z pracy w Biurze. Pracę w PISM rozpocząłem 1 marca 1984 r.

W życiu jednak żadnej ulgi nie miałem, bo to był czas dla mnie wówczas bodaj najtrudniejszy. "Oni" chcieli koniecznie "zacieśnić współpracę" i wciągnąć na całego do wywiadu, obiecując wyjazd na placówkę do Chin. Pod przykryciem, czyli w istocie w charakterze szpiega, ma się rozmieć. Tyle, że wówczas, co rozumiało się samo przez się, wydawano by mi już rozkazy, na co się nie godziłem. Było kilka takich propozycji, w tym jedna dość brutalna. Tym razem jednak próby przełamania mego oporu spełzły na niczym. Ciekawe, co na to kwity?

Naciskający nie uwzględnili, że szok i trauma stanu wojennego oraz wcześniejsza "era wolności", gdy wiele - jako chłopak z prowincji - zrozumiałem, sprawiły, że miałem już inną wiedzę i rozumienie rzeczywistości. Pracę zdobyłem samodzielnie, to nie służby mnie tam wsadziły. Chociaż oczywiście musiały mnie pozytywnie opiniować, o czym należało - stale - pamiętać. Wtedy zakreśliłem dla siebie samego „linie brzegowe”:

- Nie będzie wstępowania do Partii (podejmowano kilka prób). Z Państwem polskim mogę współpracować, ale z partią już nie, tłumaczyłem sobie;
- Żadnej placówki dyplomatycznej w podwójnej roli (nie byłem dyplomatą w PRL, jak piszą niektórzy);
- Żadnych pieniędzy ze współpracy (są na to kwity?). Nawet swego pseudonimu nie znałem, bo niczego nim nie sygnowałem;
- We współpracy ograniczam się tylko i wyłącznie do pracy analitycznej. Gdy wszedłem do PISM stwierdziłem, że w budynku znajduje się hala ksero, pod ich kontrolą. Niech biorą, co chcą z tego, co piszę. Oznaczało to stałą samokontrolę, bo do końca nigdy nie wiedziałem, na czyje biurka moje analizy ostatecznie trafiają. Że do służb, to było oczywiste.

Takie - niełatwe - postanowienia pociągały za sobą jeszcze jeden cel: trzeba robić wszystko, w miarę swoich skromnych, indywidualnych możliwości, by ten System od wewnątrz zmieniać,

bo jest nie do życia. Już wtedy miałem tego świadomość, nie było żadnego „ketmanowskiego ukąszenia”.

### *Proste pytania*

Formalnie, w oficjalnym obiegu, szybko się rozwijałem. Pisałem artykuły- najpierw w tygodniku "Prawo i Życie", potem w innych tytułach - oficjalne analizy, a nawet książki, „których treść, choć trzeba przyznać, jest raczej mało zideologizowana”, jak przyznali autorzy demaskatorskiego artykułu. To dzięki PISM były te wyjazdy, które z taką lubością wymieniają Panowie Cenckiewicz i Kozłowski. Ale czemu, jak sami przyznają, wyjechałem do USA na stypendium Fulbrighta - na rok! - "bez żadnych zadań"? To nic nie daje im do myślenia? A może po prostu dlatego, że już wtedy stałem się w środowisku rozpoznawalny, miałem osiągnięcia?

W „wersji teczkowej” mojego życiorysu nie widać nawiązania od 1983 r. ścisłej współpracy z krakowskim miesięcznikiem „Zdanie”. Stało się to dzięki Jerzemu Robertowi Nowakowi, wówczas znanemu hungaryście, też z "czerwonej kuźni" PISM, dziś związanemu z Radiem Maryja. Wtedy środowisko „Zdania” było mocno rewizjonistyczne i reformatorskie w ramach Systemu. Od tamtej pory, do dziś cieszę się bliskimi kontaktami z prof. Bronisławem Łagowskim, który u nas, obok prof. Andrzeja Walickiego, najbardziej wpłynął na moje polityczne myślenie. Tam publikowałem, jedyne takie w ówczesnej Polsce, eseje o dokonującej się już transformacji w Chinach i częściowo na Węgrzech. A wszystkie z dość jasnym kontekstem: ten nasz System wymaga zmian. Chiny tymczasem już je przeprowadzają. A jeden z tekstów o ówczesnej gospodarce nosił tytuł „Smażone śnieżne kule”. Tamte artykuły są do wglądu w archiwach.

Nie kryłem też, co łatwo udowodnić, wręcz radości z "efektu Gorbaczowa", bowiem mając chińskie doświadczenie w świadomości natychmiast zrozumiałem jego fundamentalny wpływ na nas „w obozie” państw socjalistycznych.

Na podstawie licznych publikacji przygotowałem do druku tom w oficjalnym wydawnictwie „Książka i Wiedza”, poświęcony chińskim reformom i transformacji. Zawarte w nim tezy nie spodobały się jednak partyjnym recenzentom, w tym ciągle wówczas wpływowemu ideologowi Waleremu Namiotkiewiczowi. Książka ta nigdy się nie ukazała, a ja „na otarcie leż”

otrzymałem odznaczenie - zresztą jedyne w życiu i najniższej rangi - nad którym tak mocno rozwodzą się Autorzy artykułu.

Moja aktywność publicystyczna sprawiła też, że zainteresował się mną Daniel Passent. Od początku 1987 r. wciągnął mnie do działu zagranicznego tygodnika „Polityka”. To tam nauczyłem się prawdziwego dziennikarstwa, za co jemu i innym koleżankom i kolegom z redakcji bardzo dziękuję. To jako przedstawiciel tygodnika w kwietniu 1988 r. byłem w Budapeszcie na konferencji, która obaliła Kádára (teksty do wglądu) i jako wysłannik „Polityki” byłem też na Placu Tiananmen wiosną 1989. Książkę na ten temat napisałem po dekadzie.

Pozornie w „wersji teczkowej” wszystko gra. Całkiem niezła kariera jak na PRL. Tyle tylko, że jest jeden aspekt, bodaj najzabawniejszy w tekście Cenckiewicza i Kozłowskiego, a bodaj najtragiczniejszy w naszym życiu osobistym, szczególnie mojej Żony. Chodzi o tezę, że „zamieszkaliśmy w bloku należącym do Urzędu Rady Ministrów”. Wiadomo, jak to brzmi. Nic nie trzeba dodawać.

By nie wchodzić w bolesne dla mnie szczegóły i nie drapać ran - tym razem głęboko własnych - zadam tylko parę pytań:

- W pierwszym mieszkaniu znalazła się moja przyszła wtedy jeszcze Małżonka w 1979 r., bo lokum pomogła jej znaleźć Mama, pracująca w domach wczasowych URM w Zakopanem. Wkrótce, po śmierci męża, przeniosła się z powrotem na Węgry. Tak znaleźliśmy się w kawalerce przy gospodarstwie pomocniczym URM w Warszawie na Powsińskiej (budynek stoi do dziś). Opuściliśmy ją, już razem, w lecie 1981 roku, gdyż jego właściciel, zwykły mechanik, wracał z dłuższej delegacji. Czy to brzmi jak nagroda?
- Czemu w publikacji nie uwzględniono faktu, że łącznie w latach 1980 - 1991 przeszliśmy przez 10 wynajmowanych mieszkań? Po drodze mieszkaliśmy m.in. u pani Anny Micińskiej, "Dunki", naczelnego polskiego witkacologa, której będę dogonnie wdzięczny za wiedzę od niej otrzymaną, czy u pani Hanny Żuławskiej, samej kwintesencji polskiej kultury. To ona - nie brat i nie służby - wreszcie nas na stałe w stolicy zameldowała, co nie uchroniło nas jednak przed dalszą tułaczką. Dwa ostatnie mieszkania przyszło nam jeszcze wynajmować już po powrocie z USA, a przed



wyjazdem na placówkę dyplomatyczną do Budapesztu jesienią 1991 roku. To może tyle, jeśli chodzi o "pomoc" w uzyskaniu mieszkania.

- Jaki to agent, który pierwsze mieszkanie zdobył, za własne pieniądze, w wieku 41 lat, a pierwszego samochodu dorobił się trzy lata później?

Tekst wspomnianych autorów jest jasny w swoim przesłaniu: mamy do czynienia z "człowiekiem służb", którego cała kariera aż nim pachnie. Dodam jednak jeszcze kilka szczegółów, których w teczkach nie ma.

Habilitację broniłem nie w PISM, lecz w 2004 r. znowu na WDiNP UW (z problematyki węgierskiej; była znacznie obszerniejsza niż „183 stronicowa broszura”...).

W wysłaniu mnie na placówkę do Budapesztu bodaj w największym stopniu przyczynił się pierwszy ambasador Republiki Węgierskiej w Warszawie, od lat zamieszkały w Polsce Ákos Engelmayer. Pewnie dziś tego nie pochwała, bo był i pozostaje zwolennikiem premiera Orbána, a ja nie kryję odmienności poglądów w tej sprawie. Przyczynił się też do tego pierwszy węgierski minister spraw zagranicznych po przełomie, Géza Jeszenszky. Poznałem go podczas pobytu w USA. Strona węgierska najpierw zafundowała mi wiosną 1991 r. 3-miesięczne stypendium, ale także wpłynęła na ówczesnego ambasadora RP w stolicy Węgier, Macieja Koźmińskiego, by mnie przyjął. Co on też uczynił, mając ambicje zbudowania znakomitej placówki wyłącznie ludźmi mówiącymi po węgiersku (co mu się udało!). Nie było w tym procesie, podobnie jak w przyjmowaniu mnie do PISM, ani mojego starszego brata, ani służb - chociaż oczywiście, nie łudźmy się, potrzebna była ich pozytywna opinia o mnie.

Trafiłem na placówkę, jako początkujący dyplomata, najpierw jako attaché kulturalny i pierwszy sekretarz, potem dwukrotnie awansując, na radcę, głównie prasowego. Tego okresu dotyczy mój tom "Węgierski pakiet", wydany również po węgiersku. Dopiero na koniec awansowałem na zastępcę szefa placówki. Łącznie uzbierało się tego siedem lat (1991-98).

Po powrocie do kraju w kwietniu 1998 r. przez pół roku... byłem bezrobotny, bowiem PISM rozwiązano. Nieco później odrodził się, już w innej formule. Do MSZ też mnie nie ciągnięto ani mnie nie ciągnęło, bo chciałem pracować naukowo. Dla tygodnika "Polityka" zbyt długa to była przerwa, by mnie przyjąć. Choć nawet próbowałem...

Do pracy przyjął mnie, od 1 listopada 1998 r. prof. Tadeusz Skoczny, wówczas dyrektor Centrum Europejskiego UW. Tam pracuję do dziś, a do niedawna (2020) byłem nawet jego dyrektorem.

W roku 2001 r. zostałem szefem Gabinetu Politycznego ministra Spraw Zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza, albowiem uważałem go za polityka dużego potencjału i formatu. Tę opinię podtrzymuję. Była to już decyzja polityczna, podjęta w państwie demokratycznym. Nie do końca się jednak dopasowaliśmy. Wszedłem więc z Gabinetu - wcale nie „pod koniec rządów SLD” - i jesienią 2003 r. wyjechałem jako ambasador do Tajlandii i dwóch innych państw regionu, Filipin i Birmy - Mjanmy. Jestem za to byłemu premierowi i ministrowi wdzięczny, bo okres ten, jak sądzę, całkiem dobrze wykorzystałem (odrębne tomy o Tajlandii i Birmie, nie mówiąc o tych o Chinach).

Po powrocie z Azji sam zdecydowałem o wyjściu - już na stałe - ze związków z MSZ. Postawiłem jednoznacznie na naukę, Uniwersytet. I tego się trzymam.

Fakt, że moją teczkę po dekadach ujawniono paradoksalnie tylko potwierdza, z jak chorą rzeczywistością mamy obecnie do czynienia. Znowu odnoszę wrażenie, że liczą się nie wiedza i doświadczenie, lecz wiara oraz ideologiczny ferwor. Źle to wróży naszemu Państwu, któremu służyłem tak, jak potrafiłem.

### **Godność**

Chińskie powiedzenie głosi: „Gdy huragan uderza w las, najpierw zabiera duże drzewa”. Zdaniem niektórych w życiu publicznym wyrosłem za bardzo, więc mnie ścięto.

Jednakże, paradoksalnie, tak oto macie Państwo do czynienia z człowiekiem wolnym, choć „po przejściach”. Co w życiu osiągnąłem, nie mnie oceniać. Mam nadzieję, że coś się jednak w moim dorobku uzbierało. To chyba nie wywiad nauczył mnie języków, napisał za mnie - rozpoznawalne - tytuły książkowe czy artykuły. Do samodzielnego myślenia - czasami w bólach, to fakt - też raczej dochodziłem sam, a nie przez „niebezpieczne związki”.

Zdaniem autorów demaskatorskiego tekstu jestem przedstawicielem nieznannej dotychczas dziedziny, nazwanej „sinologią politologiczną”. Z naciskiem na ten drugi człon. W domyśle: bardziej on polityczny niż fachowy. Przestrzegam jednak przed takim patrzeniem, bo w ten sposób popadniemy w znaną nam pułapkę, opisaną przez B. Łagowskiego, kiedy to „symbole pożarły rzeczywistość”.

Chiny to samodzielna, bardzo odmienna od naszej cywilizacja. Przyjąłem w podejściu do nich formułę: zrozumieć, nic nie narzucać. Jako ich badacz mam świadomość, że jak są duże i ważne. Odrodziły się dosłownie na naszych oczach, co próbuję polskiej opinii publicznej

przedstawić. Albowiem mam świadomość, jak wielka to geostrategiczna zmiana, podczas gdy polskie elity i opinia publiczna nie do końca zdają sobie z tego sprawę.

„Wersja teczkowa” tak bardzo odbiega od mojej osobistej drogi życiowej, że postanowiłem podzielić się publicznie moimi wspomnieniami. Niech każdy wybierze sobie ten wariant historii, który mu bardziej odpowiada.

Nie zamierzam udawać, że tego nie było. Było. Kto wie, co by się stało, gdyby nie głęboki osobisty wstrząs w stanie wojennym. Po nim i po wcześniejszej „Solidarności” Polska była już inna niż przedtem. Miałem tego pełną świadomość już wtedy, od lat 1980-83 r., a nie tylko dziś. Nie udawałem nikogo innego niż jestem. Żyłem i pracowałem w ramach oficjalnych struktur funkcjonujących w PRL i nigdy tego nie kryłem.

Prawda teczek nie do końca pokrywa się z prawdą o wiele bardziej skomplikowanego życia. Przynajmniej w moim przypadku. Dlatego, niechętnie, ale w obronie swojego honoru i dorobku naukowego - który też poddano w wątpliwość - zabieram ten głos. Może kogoś przekonam, a przynajmniej dam do myślenia. Dla naukowca i wykładowcy akademickiego tyle wystarczy.

### ***Notka biograficzna***

***Prof. zw. dr hab - Bogdan J. Góralczyk, politolog i sinolog, hungarysta z zamiłowania. Legitymuje się bardzo bogatym dorobkiem naukowym i publicystycznym, jest b. aktywny medialnie - w prasie, radiu, telewizji, na YouTube czy Twitterze. Ostatnio opublikował - unikatowy na polskiej scenie - Chiński Tryptyk, na który składają się trzy tomy: "Wielki Renesans. Chińska transformacja i jej konsekwencje" (2018), "Nowy Długi Marsz. Chiny ery Xi Jinpinga" (2021) oraz "Chiński Feniks. Paradoksy wschodzącego mocarstwa" (2022, wznowienie z 2010). Ponadto opublikował tom "Węgierski syndrom Trianon" (2020) oraz wznowił i rozbudował pracę o Birmie - Mjanmie po ubiegłorocznym zamachu stanu "Złota Ziemia roni łzy. Esej birmański" (2010, 2021). Wydał też wywiad-rzekę przeprowadzony przez Natalię Kołodyńską-Magdziarz "Świat Narodów Zagubionych" (2021). Obecnie szykuje wersje anglojęzyczne części z nich.***